





773

891.85-6

773.

**LISTY**  
**EX-AKTORA**  
**DO EX-AKTORA.**

( I - VI. )

Napisał

KAROL HOFFMAN.



R A D O M.  
W Drukarni A. Kurzątkowskiego.

1891.

WARSZAWA.  
KSIĘGARNIA  
Teodora Paprockiego.

R A D O M.  
KSIĘGARNIA  
Maryi Dubelt.



EX-AKTORA

EX-AKTORA

(1-11)

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Января 1891 года.



82-3

W Drukarni Księżkarskiej

~~56425~~

~~8260~~

739

WARSZAWA  
KSIĘGARNIA  
Teodora Paprocki  
M. D. Dubelt

921.162.1-6:32

WIERNEMU WSPÓLNIKOWI

DOLI I NIEDOLI AKTORSKIEJ,

*Koledze i Przyjacielowi*

Józefowi Głodowskiemu

W TOPOLI KRÓLEWSKIEJ POD ŁĘCZYCĄ.

## I.

*Drogi Józiu!* Los despotycznie miotający nierównie potężniejszymi od nas osobnikami, to zbliżał nas, to oddalał od siebie. Wreszcie ujednolicił nasze położenie o tyle, że obaj, rzuciwszy scenę, zabraliśmy się do pracy na innem polu. Rozdziela nas wprowadzie przestrzeń, ale serc naszych rozdzielić ona nie potrafi. O ile w danym razie kierowała nami ręka losu, o ile zaś własna wola, to do rzeczy nie należy. Fakt pozostaje faktem: rzuciliśmy scenę prowincjonalną i dziś na jej losy patrzeć możemy spokojnem, beznamiętnem, lubo życzliwem zawsze okiem.

Że nasza dezercja nie wpłynęła nic na jej losy, że historia sztuki prowincjonalnej, jeżeli taka sztuka ma historję, przejdzie nad nami do porządku dziennego, to nie ulega

wątpliwości, przynajmniej co domnie; ale bądź co bądź—ubyło dwóch szczerych, serdecznie oddanych pracowników sztuki. Na to miejsce przybędą inni, może o wiele bardziej zasłużeni, i szczerbów w kadrach nie będzie. Nie o nas tu, ani o innych idzie, ale o całość, o nią..... o tę biedną scenę prowincjonalną, jako korporację zbiorową.

Doświadczenie jednych jest nauką dla drugich. Tą myślą powodowany, przystępuję do kreślenia listów otwartych do ciebie. W listach tych dam miejsce wielu rzeczom, na którym patrzył własnymi oczyma, którym przebolewał własnem cierpieniem, którym pojął i należycie ocenił własnem doświadczeniem. Czy podobne wspomnienia mogą mieć rację bytu w druku? Ja sądzę, że tak. Nie potrzeba być znakomitością, aby mózgiem zionikom swoim otworzyć oczy, wskazując im nieznanne horyzonty. Pamiętniki znakomitego Rosiego niewiele więcej przyniosą nad przeświadczenie, że „każdy początek jest trudny”, że „nietrzeba się zrażać pierwszymi zawodami”, że „praca prowadzi do szczytu” i że geniusz

bywa nieraz kolosalnie zarozumiałym i lubi, do znudzenia, opowiadać o swych sukcesach. Pamiętniki Dawinsohna, przez swój kolorystyczny, o wiele już więcej nas interesują.

Wspomnienia aktora prowincjonalnego dadzą czytelnikom bodaj przybliżone pojęcie o stanie sztuki na prowincji, o bycie (nie mogę napisać dobrobycie) aktorów, o wzajemnym stosunku publiczności do aktora i odwrotnie, o działalności dyrektorów, o doborze repertuaru, słowem o wielu rzeczach i niektórych innych. Rękopisem wierności tych notatek, bezpretensjonalnie kleconych, jest ścisła bezstronność, która ze strony nieinteresowanego autora zapewnia całkiem obiektywne traktowanie sprawy. Z drugiej strony, nie możemy być literalnie ścisli. „*Nomina sunt odiosa*”, a nigdy tak, jak w danym razie. Pamiętamy jaką burzę ściągnęła na siebie powieść p. Waliszewskiego p. t. „Aktorzy na prowincyi”, a przecież autor tylko wiernie kopjował naturę, a raczej dekoracyjne tła życia scenicznego. Ja sam, osobiście, nie będąc z zasady niczym nieprzyjacielem, liczyłem

w świecie teatralnym wielu nieprzejeđnanych wrogów, w tej liczbie—co najciekawsze takich, którzy mnie wcale nie znali... Narod artystyczny „irritable est”—nie lubi, gdy się o nim pisze... cóż mówić o wymienianiu nazwisk?... Nie z obawy burzy, ale dla tem bezstronniejszego przedstawienia sprawy, w danym razie, nazwisk właściwych osób dotykanych dotkliwiej zupełnie podawać nie myślimy.

Nie o nazwiska, ale o rzecz nam idzie.

Jeżeli ktoś po za tem dopatrzy kogoś, nie wymienionego z nazwiska, w osobie tej lub owej—nie nasza wina.

Z górą ośm lat przebyłem na scenie, tułając się po prowincji, ty, mój Józiu—o ile wiem—tyleż. Czasy... to niedawne, a zda się tak dalekie! Wieleż od tego czasu się zmieniło! ile scen nowych przybyło! ile, niestety! scenek ubyło!... Ile to się miast przez ten czas zwiedziło, ile i jak rozmaitych konstrukcyj scen i widowni podziwiał, z iloma towarzyszami doli i niedoli kolegowalo,

ile najróżnorodniejszych sądów przedstawieli publiczności wysłuchało!

W chaosie wrażeń, illuzyj, poswarek, w steku osób znanych i nieznanych, w gonitwie o kawałek powszedniego chleba—całe to życie przeszłe artystów zlewa się w jakieś olbrzymie „fata-morgana”, mieniające się grą kolorów tęczowych, olśniewające błyskawicami sukcesów i ginące z podmuchem wiatru, gaszącego kinkiety sceniczne.

\*

\*

\*



Ciągle zawody, nieustanne krwawienie się o ciernie i kolce, któremi porosła droga do sztuki—na prowincji, w najzapaleńszym wywołać muszą w końcu—apatję i zniechęcenie. Prawie każdy aktor mówi o sztuce bez przerwy, ale niechętnie, nie porywa go ona, nie unosi, nie widać zapалу w jego słowach ani wiary w swoje posłannictwo. To samo udzie-

la się publiczności. — „Musi być bardzo źle w teatrze, kiedy aktorzy sami o nim tak źle się wyrażają” — rozumuje sobie przeciętny z publiczności i bodaj, czy nie w tej okoliczności spoczywa jeden z powodów obniżenia zapалу do sztuki na prowincyi. Aktor, wobec publiczności, koniecznie powinien zachować pewne „decorum”, nie wtajemniczać jej w arkanach pozakulisowego życia, nie desperować przed nim, jakby żebrać litości, ale z dumą hiszpańskiego granda nosić swoje szychowe łachmany. Ktoś z publiczności, wtajemniczony odrazu w życie domowe państwa X-ów, niemoralne prowadzenie się chórzystki Y., niewypłacalność dyrektora i t. d. i t. d., generalizuje pojęcia swe o truppach prowincjonalnych. Dla niego odtąd wszyscy, tak zwani na afiszu małżonkowie, nie są małżonkami „de facto,” każda chórzystka — prowadzić się będzie niemoralnie i t. d. i t. d.

A czyż tak jest w istocie?... Nigdy! przenigdy!... Z ręką na sercu możemy zapewnić, że publiczność gorzej sądzi o aktorach i aktorkach, niż oni na to zasługują.

Przez ciąg tych lat, strawionych w teatrze, udało mi się widzieć niejedną, najszczęśliwszą, najzupełniej wzorową parę małżeńską, najlepsze spotykałem matki, najczulszych ojców i opiekunów. W teatrze prowincjonalnym można znaleźć najczulszą, najbardziej interesowniejszą przyjaźń (częściej naturalnie pomiędzy mężczyznami, aniżeli paniami), można nawet odszukać istoty pełne serca, skromności (nie pruderyjnej wprawdzie) i godne miłości.

Nie potrzeba wreszcie dodawać, że nie brak tam ludzi czytanych, intelligentnych, a nawet gruntownie wykształconych, oraz że zdarzają się różnego rodzaju talenta artystyczne: malarze, rzeźbiarze, muzycy i t. p.

„Szanujcie się sami, a szanować was będą!” taką radę dałbym, przede wszystkim, moim ex-kolegom. Życie z publicznością o tyle jest bardzo pożądanem, o ile obywatele miasta, wolni od przesądów i uprzedzeń średniowiecznych, otwierają aktorom drzwi swoich domostw, wprowadzając ich do ogniska domowego, które działa uszlachetniająco i

krzepiąco na pozbawionych ciepła rodzinnego tułaczów. Łączenie się zaś z publicznością po knajpach staje się zazwyczaj przyczyną plotek, obmów i—niepowodzenia... W każdym mieście, z zupełną łatwością artyści przyjezdni mogą utworzyć rodzaj swojej aktorskiej resursy, niechby artystycznej knajpki. Do obcowania i znajomości z sobą—jako artysta, żyjący z publicznością — aktor może przypuścić każdego, ale do poufności, do wynurzań się przed nim—tylko zaufanego przyjaciela... Radzę to z doświadczenia.

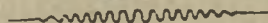
Pamiętam, jakim świetnem powodzeniem cieszyła się przed laty truppa p. Gr. w Suwałkach (nie byłem jeszcze wtedy na scenie).

Artyści trzymali się za ręce jak jeden człowiek, razem ich wszędzie widywano. Jeden o drugim wyrażał się jak najlepiej. Pierwszy komik B., chwalony w cukierni po 1-m przedstawieniu, odpowiada niby naiwnie: „To nic! ale zobaczcie no dziś amanta naszego—Teofila! Chłopy, powiadam wam — palce lizać!” Pierwszy tenor F. tak samo wyraża się o barytonie S., dyrektor chwali wszystkich,

wszyscy—dyrektora (były to czasy, kiedy dyrektorzy nie przyjęli jeszcze za zasadę, o ile możliwości: „nie płacić!”), a publiczność była zachwycona i zapełniała teatr po brzegi.

Przykład to do naśladowania!

## II



## II.

Wspomniawszy już o złej opinii, jaką nieraz wyrabiają sobie u publiczności sami aktorzy, dodać winienem, iż przedstawiciele literatury i krytyki, (zwłaszcza i prawie wyłącznie stołecznej) znakomicie wyzyskują tę okoliczność, nie szczędząc najczarniejszych barw, dla przedstawienia prowincjonalnego światka aktorskiego.

Pragnę nieco dłużej zastanowić się nad tem, co mi nieraz leżało na sercu, a na co i dziś obojętnie patrzeć nie mogę.

Gdyby ktoś chciał wyrobić sobie pojęcie o naszym świecie aktorskim prowincjonalnym z tego, co o nim opowiadają w swych nowellach i obrazkach panowie autorowie, oraz w referatach i wzmiankach ulotnych—warszawska reporterja, musiał by powziąć prze-

konanie, że teatru prowincjonalne stanowią rodzaj lupanarów, wstrętnych jaskiń demoralizacji, w której kryją się hetery, oszuści, lub co najmniej—żebracy i wydrwigrosze obojej płci. Najlichszy reporter, debiutujący za ledwie w sztuce chwytania w lot nowinek brukowych, uważa sobie za „punkt honoru” wyrażać się z lekceważeniem o teatrze prowincjonalnym, wyśmiewać—na niewidzianego—jego pracowników i produkcje. Na palecie autorskiej—zamiast obrazów z życia, zjawiają się wciąż szablony zużyte i kopiowane po tysiackroć: teź same wyzyskujące młodzież aktorki, ciż sami rozczochrani bogatrowie, pijani komicy, toż samo nieposzanowanie sceny i sztuki, toż życie knajpy i rozputy.

Naturalnie, głównym powodem tak jednostronnego przedstawienia rzeczy, jest brak obserwacyi życiowej. Autor zna aktora i aktorkę z jednego lub kilku mniej udanych występów na scenie, z knajpy, w której wypił z nim parę kufelków bawara, lub z gabinetu, w którym zjadł z nią kolację... i z za-

obserwowanych w tym trakcie rysów odtwarza całokształt człowieka, pisze historję obyczajów całej klasy społeczeństwa. Jeden z najzdolniejszych i najsympatyczniejszych z kąd inąd młodych nowelistów naszych opowiadał mi niedawno treść ostatniego swego obrazka, wziętego (?) z życia aktorów.

Rzecz ma się rozgrywać w towarzystwie, składającym się z 4-ch osób: dyrektora, dyrektrowej, ich służącej, (grającej rolę naiwnej) i kochanka... jakającego się. Towarzystwo to przejeżdża z miejsca na miejsce „własną budą (z nieodłączną płachtą) ciągnioną przez jednego, dychawicznego konia, którego w lecie na przemiany wypuszczają na paszę, stróżując przy nim, to dyrektor, to amant!”

Nie słuchając dalszego ciągu opowiadania, zaopponowałem z miejsca, zapewniając uroczyście, że takiej truppy niema u nas nigdzie, a jeżeli była—to chyba przed kilkudziesięciu laty. Szanowny autor zapewnił mnie, iż wszystko to opowiadał mu dosłownie komik X., na wiarę więc słów jego naszkicował swój obrazek.

Przeczytawszy zbiór nowel tegoż autora, zauważyłem odrazu niezbite dowody wpływu owego „komika” na tworzenie obrazków ze świata teatralnego. Autor nie tai się wcale, że patrzył na wszystko oczyma komika, uważając go w danym razie za „wyrocznie.” Tymczasem, znamy obydwa aż nadto tego komika. Dobry bez kwestji kolega, ale pesymista do szpiku kości, przy tem faccjonista i dla ubawienia współbiesiadnika (od czegoż komik!) gotów wysmiać—rodzoną matkę, a nawet... samego siebie! Zaręczam jednak, iż i on, gdyby mógł przeczuć, iż słowa jego będą stanowiły coś w rodzaju „verba magistri,” z pewnością o wiele oględniej charakteryzowałby swoje gniazdo. Dziś zaś, po fackie, może być tylko dumny, iż jego „bons mots” będą na ustach wielu i zyskają pochwałę krytyki, która nie zaniedba pochwalić autora za jego głęboką znajomość stosunków teatralnych i obserwację życiową, pełną prawdy—lubo bolesnej!... O komiku!... Gdybyż przynajmniej panowie reporterzy i wzmiankodawcy niezmiennie trzymali się raz



wyrażonego zdania, ale gdzie tam!... Każdy teatrzyk ogródkowy, przed dziesięcioma laty, był „enfant gaté” mistrzów i pacholków prasy, a dziś—dziś... nawet piskłeta literackie srogie im dają cięgi, brzmi ogień rotowy na całej linji... biedne ogródki!... Na szczęście —niebrak i innych, nielicznych wprawdzie, ale wymownych głosów.

Wytrawny i subtelny krytyk teatralny, sam artysta, przedstawiciel intelligencji pobratanej z artyzmem, szanowny Józef Kotarbiński podniósł, natchniony miłością prawdy i dobra sztuki, głos w obronie teatrzyków ogródkowych i prowincjonalnych, gromiąc zmieniających przekonanie reporterów. A przecież nikt nie posądzi pana Józefa, że wystąpił „pro domo sua”. Perypetje włóczęgi prowincjonalnej, cyganerja artystyczna nie były mu nigdy znane. Należał do tych wybranych, którzy wprost z ławy uniwersyteckiej weszli w otwarte im na oścież podwoje pierwszego teatru.

Jakiż to przykład dla tych pań i panów, którzy, zaledwie otrząsłszy proch pro-

wineyi z nóg, dostawszy się za wstawiennictwem Ducha Św. na stałą scenę, pogardzając dawniejszą bracią, rozsiewając o porzuconych najdziksze wymysły, wypierając się wszelkiej z nimi solidarności!

Żałować niemal wypada (nie dla niego, lecz dla sprawy teatru), że p. Kotarbiński nie był naocznym świadkiem naszego życia; o ileż wtedy goręcej, serdeczniej i wymowniej wystąpiłby w sprawie wydziedziczonych.

I drugi znakomity artysta, ceniony literat p. Rapacki, z godnością i powagą pisze o teatrze prowincjonalnym,—w obrazkach jednak swoich jest przeważnie historykiem upłynionych dni i dawniejszej epoki. Nie zresztą w tem dziwnego, skoro od lat kilkunastu zadomowiony na stałej scenie, obcym się stał dzisiejszym teatrom prowincjonalnym.

W literaturze naszej znajdziemy sporo utworów, sympatycznie opisujących aktorów i teatr prowincjonalny. Z dawniejszych: „Wdowiec” Korzeniowskiego, odnośne ustępy z powieści Kraszewskiego, z nowszych: „Aktorka” Lubowskiego, wdzięczna, pełna prawdy: „Mimi” Gawalewicza i in.

Nigdzie jednak, w żadném ze znanych mi dzieł naszych autorów nie dźwięczy tak pięknie i przejmująco nuta miłości dla sztuki i wędrownych jej przedstawicieli, jak u węgierskiego pisarza Jokai'a.

Czytając jego: „Poruszmy z posad ziemię!” zazdroszczę doprawdy Węgrom, gdy znajduję takie ustępy: ...„Wielki to pan—taki wędrowny aktor! Sam czyni się tem, czem być pragnie. Szturmem zdobywa sobie kraj swój i kraj ten staje się jego własnością, dopóki sobie w jego miejsce nie podbije innego. On się nie prosi uniwersyteckich doktorów o dyplomy. Dyplom posiada we własnej piersi, w duszy, w głosie. Haracz mu płaci świat cały, a i wtedy nawet pozostaje jego dłużnikiem. A on to wie wybornie.

On żyje sławą i wieczną nadzieją. Nie przyjmą go życzliwie w jednym miejscu, idzie dalej, szuka sobie innej areny. Nie dba o to, czy zarobi, nie lęka się strat nigdy. Jest uwielbianym człowiekiem, a tem samem szczęśliwym. Dokonywa on pracy, za którą los zaraz płacić mu powinien, bo innej, później-

szej zapłaty dać mu nie może. On opuszcza przecież dom rodzinny, utartą życia drogę po to, aby tulać się od miasta do miasta i głosić żywe słowo. A cóż on głosi? Uczucie sprawiedliwości, ideał, poezję, szlachetne porwy. Arystokrację uczy kochać język oczysty, lud—ciemne pospólstwo obeznaje z historją narodu. O, ten wędrowny komedjant czyni więcej, niż ksiądz, nauczyciel, sędzia i akademje uczonych razem wzięci!”...

Przesada — frazesy! odpowiedzą nam! Ach, możeby i nie były te słowa przesadą, gdyby ci co stoją wyżej, nieśli—„wędrownym komedjantom” słowa nauki, pociechy, pokrzepienia, zamiast pogardy i ohydy.

Jakże piękne np. zadanie rozwoju sztuki prowincjonalnej mogłoby mieć pismo, poświęcone wyłącznie sprawom artystycznym, gdyby chciało stać się pepinierą talentów prowincjonalnych, rodzajem szkoły dramatycznej, praktycznym informatorem niedoświadczonych, a żadnych postępu!

Cóż widzimy natomiast?

Pismo, poniekąd reprezentujące interesa

sztuki dramatycznej, skwapliwie podając wizerunki najpospolitszej zagranicznej osobistości, szykanuje w feljetonowych humoreskach aktorów prowincjonalnych, nie mając dla nich nic—krom słów lekceważenia i pogardy. Nie wskazuje środków ratunku, nie bada gruntu i stosunków, nie pyta o nic... tylko szydzi i kpinkuje.

Aktorowi prowincjonalnemu nie przebaczy nie zgola. Doświadczyłem tego—na własnej skórze. Aspirując o prawo wyrażania swych myśli czcionkami na papierze, popełniłem zbiór „Nowel”, które posłałem między innymi, do redakcji owego pisma. Recenzja zjawiała się dość prędko. Z powodu ostrych recenzyj nie miałem nigdy do nikogo żalu, przeciwnie—skwapliwie notowałem w pamięci udzielane mi wskazówki. Ta jedyna recenzja oburzyła mnie. Pomijam, iż recenzentowi, czy też recenzentce zawadziły nawet w mej książce... znaki zapytania, wykrzykniki i cudzysłowy, że nie znalazła w niej godnego uwagi, przytoczę tylko zdanie jej o moim stylu. „Styl wreszcie przypomina...

bohatera teatrów prowincjonalnych”... Była to osobista wycieczka i przeciwko mnie (w swej karierze scenicznej grywałem i bohaterów, jakkolwiek nie przeważnie) i przeciwko nienawistnemu rodowi „bohaterów prowincjonalnych”. Co się tyczy mnie osobiście mogłbym przysiąc, że szanowna recenzentka nie widziała mnie nigdy na scenie, a bardzo być może, że i żadnego z bohaterów prowincjonalnych.

W ten sposób kierownik artystycznego pisma naszego stara się zabić w „prowincjonalnym bohaterze” aspirację do literatury i uprawiania ojczystego języka!

O Jokai’u!...

Na pochwałę pism prowincjonalnych przyznać należy, iż nie trzymają się one wcale taktyki—dobijania dogorywających. Przeciwnie! Jeżeli grzeszą, to właśnie tylko bezkrytycznością, nadmiarem pochwał, które z nieufnością przyjmuje zawiedziona raz i drugi publiczność, a z szyderstwem — prassa stołeczna.

Dobrej sprawy nie należy psuć samoświadcząc.

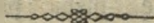
Gdyby mi wolno było na tem miejscu dać radę kolegom - dziennikarzom prowincjonalnym, streściłbym ją w tych wyrazach:

„Spekulantów, — geszefciarzy nie popierać, sumiennych pracowników zachęcać do wytrwania i pracy, chwalać ich w miarę i bez przesady, wady wytykać, usterki wybaczać, dobre chęci cenić”...

„Miej serce i patrzaj w serce“ — i w danym razie ma zastosowanie.

Dosyć jednak w tej drażliwej kwestji, przejdźmy nad nią do porządku dziennego, ale już w następnym liście.

„Vale et me ama“. (\*)



---

(\*) Dwa pierwsze listy drukowane były w „Kaliszaninie” w początkach 1889 r. (*Przyp. aut.*)



### III.

*Drogi Józiu!*

Sporo to czasu upłynęło od poprzedniego mego listu. Dlaczego milczał? Nie sądzę, by mnie przestraszyła krytyka, jakkolwiek był to „sęk“ nielada, albo też, że się uląkł zagłębiania w sprawę dość drażliwą, jak na nasze stosunki. Nie! poprostu zapuściłem odlogiem piśmienniczą niwę, nie miałem do tego ani głowy, ani chęci. Przychodzą na człowieka chwile tak ciężkie w życiu, że traci się wiarę we wszystkich i wszystko. Burza przeleciała nad mą głową, niszcząc nadzieje i mary bezlitośnie, — straciłem na długo cały swój dorobek życiowy i ciężko mi było, tak ciężko.... że nawet twa przyjaźń osłodzić mi życia nie mogła. A dziś?... dziś znowu widzę jasne niebo nad sobą, promien-

ne słońce ożywcem tchnie na mnie ciepłem, żyję, czuję, jestem!... Do rzeczy jednak.

Przewidująca krytyka z poprzedniego mego listu wywnioskowała przedwcześnie, iż ja winę upadku teatrów prowincjonalnych przypisuję—prassie peryodycznej! (\*) ... To się nazywa: umieć czytać pomiędzy wierszami. Ja bo dopiero w obecnym liście zamierzylem rozpatrzyć tę sprawę i określić—według mego zdania: *kto jest głównym winowajcą upadku teatrów prowincjonalnych?*

A któż np. winien, że nędzne ramoty, pojawiające się w pismach peryodycznych, nie podobają się publiczności? Ona, naturalnie, nie, bo dowodzi tem tylko dobrego gustu, autor—także nie, bo nikt nie jest sędzią samego siebie, a zatem winien kierownik literacki, odpowiadający za wartość swego organu. Kto winien, że nie wykwalifikowany terminator-rzemieślnik zostaje fachowym ni by majstrem? winien—wyzwalający go...

---

(\*) Ja zaś w lekceważeniu aktorów przez prasę peryodyczną widziałem powód—zobojętnienia publiczności dla teatru. (P. A.).

Kto winien, gdy nieuk i głupiec dostaje dyplom?.. Profesor, wydający mu takowy...

Więc, gdy na scenę wkraczają ludzie bez odrobiny talentu, nauki, znajomości mowy rodzinnej, bez wszystkich niemal koniecznych dla artysty warunków—któż temu winien, jeśli nie dyrektorowie?... Oni to, na równi z użytecznościami, rekrutują do siebie i tak zwaną „hołotkę“, bo ta tanio kosztuje i czując swą wartość—nie jest wcale wymagającą. Do takiego obniżenia artystycznego „cenzu“ personalu przyczynia się znakomicie „operetka“, wymagająca tak zwanych „chórów“. Wbrew temu, co twierdzą dyrektorowie i powtarzają za nimi nieznający się na rzeczy, *na prowincji łatwiej o operetkę jaką taką, niż o dobrą komedję*. Do operetki wystarczy: 1 śpiewak, 1 śpiewaczka, komik bez głosu, reszta—jakie Bóg dał głosy!... Operetka wszystko usprawiedliwia, kult jej wymaga przedewszystkiem wiary w nią... Widzicie np. drewnianego bohatera, don-Żuana, podbijającego serca wszystkich dziewcz. Jest on dziwnie niezgrabny, śmieszny poprostu

i psuje całą illuzję. Wyrażacie delikatnie swą wątpliwość koledze. „Ależ co wy gadacie? przecież to *operetka*, nie komedja, tu nie potrzeba ruchów, dykeyi, tylko śpiewu, głosu, głosu!”

Za chwilę odzywa się komik, śpiewający jakąś aryę. Posiada on w swoim rejestrze półtora tonu i to fałszywe. — „Boże! jak on śpiewa! jak on śpiewa!” — wykrzykujecie mimowoli. — „Ależ, mój panie, przecież to nie opera, to *operetka*, tu głosu nie trzeba, tylko gry, gry, finezyi, dowcipu, pieprzyku, panie, tego... o! tego!”...

Oto—operetka!...

A chóry?... Chóry powinny tak krzyczeć, żeby je słyhać było w bufecie. Chórzysta najmocniej ryczący nazywa się „podtrzymującym chór”... Te to chóry rekrutują najnieudolniejsze siły (?) prowinejonalnych teatrów. Pomijam osobniki, posiadające jaki taki głos, ale w massach potrzebni są nawet statysci, a zwłaszcza—ładne statystki...

I z tych to osobistości niektórzy literaci wyrabiają sobie wyobrażenie o całej klassie ludzi!.

Ale wracając do operetki spytacie mnie: a kostiumy?—wszak to ciężki argument. Co tam kostiumy! Francuzkie zastępują zazwyczaj włoskie i hiszpańskie, a greków w „Pięknej Helenie” ubierają bardzo często w czerwone buty polskie.

Z wystawą podobnieź się dzieje.—A wszystkie te herezye popelnia pan dyrektor przez oszczędność. Reżysser, choćby zdolny i sumienny, nie tu nie poradzi:—zechce z nadto dowodzić, dadzą mu dymissję. Jakim-że więc powinien być dyrektor? Winien być sam artystą (bo taki tylko będzie umiał ocenić talent i pracę kolegów), zdolnym reżysserem, (bo taki nie będzie żałował zasobów na upiększenie sceny i na odpowiednie kostiumy) i o tyle o ile kapitalistą, wypłacającym rzetelnie gażę (\*), (bo zapewnione utrzymanie jest podwaliną aktor-skiego rozwoju).

Opinię takiego, pożądanego ze wszech

---

(\*) Co się tycze działowych towarzystw to do tych jeszcze nie dorośliśmy i zapewne nie prędko utrwali się ich prawidłowa egzystencya, a to z powodów, o których, przy sposobności, w jednym z następnych listów obszerniej napiszę. (P. Aut.).

miar dyrektora, posiadał ś. p. Doroszyński, którego zasług, nie znając go bliżej—dokładniej wskazać nie mogę.

Takimi dyrektorami na prowincyi byli w swoim czasie znani dobrze nam obudwóm pp. Bolesław Kremski i Wójcicki. Do najmielszych czasów w karyerze scenicznej zaliczam mój nowicyat aktorski w Lublinie, pod ich kierunkiem. Młodzi ludzie pracowali tam i korzystali rzetelnie. Poszanowanie dla sztuki i sceny wpajane było we wszystkich, jako religijna zasada przysłego artysty.

Nawet trzymając „scenariusz”, zapalając „ogień bengalski” za kulisami,—wydawało mi się, że przyczyniam się do całości sztuki, że jestem częstką wielkiego ogniwa, wiążącego scenę z salą teatralną. Podobnemi uczuciami umieli nas, młodych, natchnąć dyrektor Kremski z czcigodnym reżyserem, niezapomnianym ś. p. Kalicińskim.

Nie dziwnego, że przy takich warunkach, Lublin protegował nas, jak nigdy. Niektóre sztuki, jak: „Podkomorzyna”, „Ukraińcy”, „Napoleon I” i inne były grywane po kilkanaście razy w sezonie.

Dyrektorowie mieli się dobrze, artyści mieli się dobrze i sztuka też się miała dobrze...

W obecnej chwili ze względu na kierownika i skład personelu, świetną ma przyszłość przed sobą teatr Łódzki, chociaż zawistni i tej imprezie nie rokują długiego życia... Obyż się zawiedli!...

Na dzisiaj—tyle. Do zobaczenia!

#### IV.

*Cześć zmarłym!...*

Kiedy czytam elukubracje niektórych dziennikarskich Zoilów, odsądzające od czci i wiary cały ród prowincjonalnych aktorów, wnet przed oczyma stają mi, jako krzyczące zaprzeczenie, postacie zmarłych, a niezapomnianych kolegów: jasne, piękne, świecące z za grobu swym przykładem życia uczciwej pracy i krwawych mozolów o kawałek chleba. Widzę, jakby żywych: ś. p. Kalicińskiego, Freja, Stobińskiego i innych... i nie mogę się wstrzymać od zawołania: „A oni? a ci?... cóż im macie do zarzucenia?... Takie jednostki czciła-by każda klasa społeczeństwa, czyż dla tego, że byli aktorami i w tych nie uznacie ludzi?“...

Historia sztuki dramatycznej nie zapisze

pewnie ich nazwisk, ale pamięć ich wśród współczesnych, jako ludzi, jako obywateli, żyć będzie długo nieskalana, czysta, świetlana!...

*Cześć im!...*

Pamiętam, jak dziś, pokoik Kalicińskiego w Lublinie, w hotelu Saskim, cały zapelniony książkami, systematycznie ułożonemi. Po książki te przychodziłem do naszego reżysera, pożyczał je chętnie i umiał wybrać, stosownie do gustu. Lubił tych, którzy garnęli się do książek, poezyi i wiedzy, cząstka jego sympatyi dostała się więc i mnie.

Traktował mnie serdecznie, po ojcowsku. Zwierzał się nawet ze swemi zamiarami. Wtedy pieścił on myśl pojechania do Petersburga z polskim teatrem pod dyrekcją Texla, gdzie miał się zająć reżysseryą. W notesie miał wynotowane sztukę po sztuce, przedstawienie po przedstawieniu, jakie miały być dane w Petersburgu. Inaugurować sezon miała „Halka“, nazajutrz „Zemsta za mur graniczny“, potem inne Fredry, sztuki kontuszone i t. d. Śmiały mu się oczy, gdy o tem mówił, ożywiał się cały.

Niezwykła skrupulatność we wszystkich czynnościach, sumienne wywiązywanie się z zobowiązań przyjętych, uczciwość, delikatność, porządek—cechowały całe życie ś. p. Ignacego. Pracą i poszanowaniem sceny dawał wzór młodszej braci: zawsze pierwszy na scenie podczas próby, pierwszy w garderobie przed spektaklem, zawsze „expedite” umiejący swą rolę i wlewający w nią spory zasób inteligencji i uczucia.

Po opuszczeniu przeze mnie trupy Kremskiego i Wójcickiego, spotkałem się z Kalińskim w Lublinie, we trzy lata potem w odmiennych nieco warunkach.

Był reżyserem świeżo uformowanej na Lublin trupy, zrekrutowanej przeważnie z sił młodych, traktujących go, jako aktora „starej szkoły”, pełnych dobrych chęci... i zarozumiałości... czuł się więc trochę nie swojsko. Przywitał mnie z radością.

Był przygnębiony i jakoś dziwnie rozstrojony. Objął mnie, dlaczego. Texel z trupą wyjechał już do Petersburga, a on został w kraju. Marzenia jego spełnione zostały,

ale kto inny miał je w czyn wcielać. Proponowano mu wyjazd, ale w chwili stanowczej nie mógł rozstać się z krajem,—zdało mu się, że go *tam* czeka śmierć, a nie uleżał-by nigdzie, tylko tutaj. Zostawszy w kraju, znów nie znalazł spokoju.—„A co oni tam robią? jak sobie radzą beze mnie? Cemu mnie tam niema?”... i t. d.

W takim usposobieniu duszy, na kwadrans przed drugim przedstawieniem, ucharakteryzowany za Szarzańskiego do komedyjki „Jedenkroć”, skonał w garderobie teatralnej na aneuryzm serca.

Skonał, jak żołnierz na stanowisku, z maską na twarzy, a do snu wiecznego orkiestra teatralna grała mu kontredansa z „Wesołej wojny”... Interesa swoje zostawił w zupełnym porządku, nie nikomu nie był winien, ruchomości z nadwyżką opłaciły kosztą pogrzebu, a książki za bezcen nabyli—dyrektorowie teatru. Spoczywa na cmentarzu lubelskim bez pomnika... I któżby mu go postawił?... Chyba jaki ex-kolega, aktor, kochany nasz Kot.... np., gdy jeszcze lepiej stanie na nogi... bo któżby inny?...

A Frey?... nie wiem, czy go znależ? Co to była za dzielna dusza w niepozornem, może nawet brzydkiem ciele! Jaka energja, jak silne postanowienie iść przez życie o własnej sile, bez poniżania się, pracą, ucziwają pracą zdobywać sobie czarny kawałek chleba!... Lubił swobodę, ciężko mu było wysługiwać się dyrektorom i znosić krzywdę swą nieraz.

Wolał tulać się sam z córką i tu zagrać z amatorami, tam z aktorami, jako autor wesołych ludowych obrazków—byle coś zarobić, byle nie wyciągać ręki do nikogo, albo iść w jarzmo innej pracy, do której nie stworzony był jego organizm duchowy. Spotkał się z nim w Busku, podczas sezonu, i prędko zaprzyjaźnili...

Na jego prośbę, przyjęliśmy, za zezwoleniem dyrektora Kr., udział w przedstawieniu na jego korzyść. Dał trzy swoje jednoaktówki. Teatr był nabit publicznością. Po kosztach okroiło mu się jakichś 80 rubli. „Mamy na trzy miesiące—życia!” — wykrzyknął z taką radością, jak gdyby wygrał główny los na loteryi. U każdego z nas gra-

jących był nazajutrz z podziękowaniem, na które słów nie umiał znaleźć. Mnie prosił o fotografię. Dałem mu chętnie ostatnią. W kilka dni potem przynosi mi prześlicznie odrobioną przez siebie heliominiaturę moją w ładnych ramkach, ofiarując mi na pamiątkę...

Ten drobny fakt jakże charakteryzuje człowieka!...

Po wyjeździe z Buska, widziałem Freya kilka razy, zawsze na chwilkę jedną, wicnie zaafetowanego, w kłopotach o kawałek chleba, lecz pełnego wiary w swoje siły, w ludzi i jaśniejszą przyszłość...

Umarł niebożę przed paru laty w szpitalu Ś-go Jana Bożego w Warszawie....

Ś. p. Stobińskiego znaliśmy dobrze obydwa, a gdy go kto poznał—jakże mógł nie cenić, nie szanować, nie kochać?... Uczciwość jego, jako dyrektora działowego, stała się przysłowiową: niedowierzający nikomu naród artystyczny wierzył Stobińskiemu zupełnie.

Przy „dziale” i rachunkach nikt nie bywał

obecnym. Każdy nazajutrz znajdował na stole dyrekcyjnym owinięty w papier z napisem właściwym rulon drobnych pieniędzy,—swój „dział”... Nieraz aktorzy zachodzili w głowę, jakim sposobem ze spektaklu 18 rublowego, po zaplaceniu wszystkich kosztów, może być jeszcze po 10 groszy na markę?... Była to tajemnica ś. p. Stobińskiego. Gdyby nie pewien wstręt do nowych stuk, do ulepszeń w dekoracjach i garderobie, ś. p. Stobiński byłby idealnym, typowym dyrektorem działowego towarzystwa.

Straciwszy swą dyrekcyę, Stobiński pod koniec życia wysługiwał się, jako aktor w innych działowych towarzystwach.

Spotkałem się z nim, po dość długiem niewidzeniu, w Kole, w truppie K. Kremskiego. Pamiętam, jak dziś—jak coś na tydzień przed Bożem Narodzeniem, zaszedłem do jego mieszkania. (Był sam, po żonę i córkę miał dopiero pojechać z zarobionemi pieniędzmi). W zimnym, nieopalonem pokoiku, w futerku, chuchając w palce co chwila, przepisywał role z „Ojcowizny” dla amatorów.

Gdyby ci panowie, krytykujący tak świat aktorski, spytali się tego człowieka, jakimi sposobami, kosztem jakich mozołów—zdobywał powszedni chleb dla siebie i dla swoich, zachowując zawsze nieskazitelny charakter, prawość i dzielność mężką,—może-by nie tak pohopnie ferowali swe wyroki.

W Łęczycy znów ś. p. Feliks dawał małym dzieciom—lekcyę tańców...

Umarł, nie zostawiając rodzinie nic, oprócz dobrego imienia!...

Ś. p. Russanowskiego tak jak bym nie znał, bom nie miał z nim osobistych stosunków, a jednak raz z jego powodu płakałem rzewnemi łzami.

Było to na Ujazdowie, podczas zabaw ludowych na Wielkanoc.

Jako studenci jeszcze, popychani przez tłum, zatrzymaliśmy się przed jedną z bud, na której jakaś poczwarna kreatura z larwą na twarzy wymachiwała rękami, zapraszając do wejścia. Po chwili maskara zniknęła, a na jej miejscu na dachu stanęły dwie osoby: starszy mężczyzna z przyprawnym ogrom-

nym nosem, w kapeluszu słomianym na głowie i młodszy dorodny, smukły chłopiec.— „Ten stary—to Russanowski!”—objaśnił nas, urzędnik, kontrolujący dochód w owej budzie. Na dachu budy rozgrywała się scena. Młody, bez żadnego powodu, zrzucił staremu kapelusz z głowy. Starego rozgniewało to ogromnie. „Podnieś mi zaraz kapelusz!”— „Nie podniosę!”— „Podnieś!” krzyczy, unosząc się coraz bardziej.— „Nie podniosę!”— „Nie podniesiesz?!”— „Nie!”— „Nie?... nie?... nie?... no, to ja sam go podniosę”—zmieniając ton i spełniając, co obiecał, zakończył stary.

Czy to dla tłumu wydało się nie dowcipnem, czy też było już zanadto oklepanem, dość, że z pośród gawiedzi dały się słyszeć przeraźliwe świsty i grad kamieni, gruzu, ziemi, posypał się na dach budy. Stary oberwał po karku, drugi kamień przeleciał tuż pod przyprawionym nosem, zdzierając go, ku zadowoleniu pospólstwa... Zdawało mi się, że stary jęknął.

Stał osłupiały, nie wiedząc co robić.

Aż wtem młody uratował sytuację: kopnął go nogą w krzyż, stary sapnął, potknął się i zleciał z dachu do wnętrza budy.

Widok ten odebrał mi chęć do teatru na lat parę (już wtedy walczyłem z pokusą wstąpienia do teatru na prowincyi).

Aktor polski, twórca „ogródków warszawskich” — jako hecarz Ujazdowski, kamienowany przez tłum!...

A cóż miał robić ten nieszczęsny człowiek—ojciec rodziny, gdy był za dumny, a by żebrać, za uczciwy—żeby kraść?...

W kilka lat potem, w Lublinie, podczas próby, pamiętasz, Józiu, jakeś wpadł z Michałem do ogrodu przy teatrze letnim?.... „Russanowski umiera w szpitalu. Na pogrzeb, koledzy, co łaska!”... I posypały się do twego kapelusza dziesiątki i czterdziestki, każdy dawał, co miał... A wielu w ten dzień nie jadło zapewne obiadu. O! bo aktorzy to ludzie djabelnie niepraktyczni... Czy aby koleżeńscy chociaż?... A no, to już zależy od zapatrywania się...

Albo, na ostatek—najtragiczniejszy koniec

tego biednego ś. p. Ol.,—czyż także nie wymowny, nie świadczący dobrze o klasie paryasów?.... W szale beznadziejnej miłości, w którą włożył całą swą istotność, w rozpacznej extazie, ginąc z własnej ręki, od kuli rewolwerowej,—jakiż zostawia testament, jaką ostatnią ma prośbę do braci: oto „sprzedajcie rzeczy pozostałe po mnie i oddajcie dług gospodarzowi”...

Biedny męczennik miłości nie prosi o nic dla siebie, o litość, przebaczenie, wspomnienie, nie! on nie chce tylko zabierać z sobą do grobu cudzej krzywdy... I takim był przez całe życie: nigdy nikogo nie zarwał, w największej nędzy wyszedł uczciwie z zobowiązań przyjętych.

Jeżeli w tak nieprzyjaznych warunkach, w jakich obecnie znajduje się teatr prowincjonalny, wśród największych przeciwności i zawodów, są ludzie takich charakterów—o ileż-by podniósł się poziom moralny, gdyby im zapewniono jaką taką dolę, dano gwarancję jakiej takiej przyszłości!

Wiesz dobrze o marzeniu mych dawnych dni:

*O projekcie założenia kassy pomocy dla aktorów prowincjonalnych...* Niestety! marzenie pozostało dotąd marzeniem i zapewne długo nim jeszcze będzie. Zkądże ja, biedny, wezmę na to fundusze?

Gdybym, jak proponowaliśmy, objechał z odczytem p. t. „*Aktor*” kraj cały od miasteczka do miasteczka—cóż bym zyskał?... Nie wiem, czy co więcej nad parę złośliwych krytyk i trochę życzliwych oklasków... Za mało...

Wydać jednodniówkę na ten cel?... Kto ją poprze?...

Ach, panie Hrabio Platerze, Ty, co taką opieką otaczasz kasę pożyczkową członków Teatrów Warszawskich, czemuż to nie przypomnisz sobie o tem, że oprócz stołecznych *artystów*, są i prowincjonalni... aktorowie?...

Czyż nie byłoby to jeszcze piękniejszą, szlachetniejszą rzeczą poprzeć upośledzonych, zapewnić im jaką taką przyszłość a w ten sposób i przysporzyć—scenie Warszawskiej kontyngens nowych sił, które niedostatek i walka z losem nieraz zabija, unicestwia, chłonie?...

Artyści Warszawscy już mają wszelkie dane do zapewnienia sobie znośnego losu, oni obejdą się i bez pańskiej pomocy,—ale ci biedni, opuszczeni, zapomniani, wiecznie będą paryasami losu?...

Panie Hrabio?!...

Daruj, mój Józiu, że w liście do ciebie, interpeluję Hrabiego. To krzyk serca Twojego przyjaciela i kolegi.

---

## V.

Prosiłeś mnie kiedyś—pamiętasz? żeby ci opowiedział o dyrektorach, którzy mnie skrzywdzili.

Ponieważ kwestya ta nie pozbawioną jest ogólniejszego znaczenia, przeto na tem miejscu daję ci odpowiedź.

Krzywd krzyczących ze strony dyrektorów bywa zazwyczaj niewiele. Ja sam w ciągu ośmioletniej mojej włości scenicznej po prowincyi, spotkałem na swej drodze dwóch dyrektorów, którzy zdaniem mojem—skrzywdzili mnie.

Ogólnie rzecz biorąc, w gaźowych towarzystwach (z wyjątkiem wzorowo płacących gaźę pp. Kremskiego i Wójcickiego) zniechęcającem, powiem nawet—poniżającym jest ustawiczne upędzanie się za dyrektorem,

celem wyproszenia od niego, jakby łaski—udzielenia „a conto”... należnej już gaży... Kto chce mieć jako tako wypłaconą gażę musi dyrektorowi deptać po piętach, chodzić za nim, jak cień, działać prośbą i groźbą, bawieniem i nudzeniem go i t. p. Do tego trzeba mieć specjalną zdolność... i czoło...

Kto nie posiada tych zdolności, będzie się musiał obywać złotówkowemi „contami”, pozostałemi po obrachunku a o otrzymaniu jakiejś kwoty kilkurublowej odrazu niech ani nie myśli.

W towarzystwach działowych (znów z małym wyjątkiem) zabijającemi aktorów są wygórowane koszty, stanowiące widocznie rubrykę dochodu w budżecie tak zwanego „dyrektora” vel „zarządzającego”.

Walczyć z kosztami, nawet przy ogólnej solidarności współkolegów, niepodobna: dyrektor chętniej pozbędzie się całego towarzystwa, niż zgodzi się na zmniejszenie kosztów.

Rozpatrzywszy się dobrze w tych i owych towarzystwach, dążyłem zawsze chętniej do

„działowych” porządnych towarzystw, jakimi w swym czasie były trupy Stobińskiego, Krauzego i Ratajewicza. Ztąd nawet u niektórych kolegów zyskałem opinię „Kiernoziaka”, wołałem jednak strawić ten epitet, niż narażać się na próby z gażowymi dyrektorami w rodzaju tej, jaka mnie spotkała, kiedyś, w Lublinie.

Bawiąc czas jakiś, w przejeździe, w Warszawie, wyczytałem naraz w gazetach i kurjerach wiadomość, iż pp. Q. i X. tworzą wzorową trupę i wyjeżdżają do Lublina. Pierwsza pracownia malarska wykończyła dla nich dekoracye. Znając dobrze głównego współnika nowej firmy z dawniejszych czasów, postanowiłem poprobować szczęścia i udać się do niego z prośbą o zaangażowanie mnie. Nie mógł mnie zapomnieć: żyliśmy z sobą tak dobrze w Suwałkach. Rozsprzedawałem mu bilety na benefis jego i żony, dedykowałem tej ostatniej wierszyk, który jej się dosyć podobał (bezinteresownie całym—Bóg mi świadkiem!) i t. d.

Dowiedziałem się o adresie nowokreowa-

nego dyrektora i pospieszyłem doń, kolysany nadzieją, że mnie przyjmie, że ujrzę znowu ukochany Lublin, że okażę publiczności, jakie uczyniłem postępy i t. p. Dyrektora zastałem na wyjeźdźnym, zajętego pakowaniem manatków. W nocy miał wyjeżdżać. Nie omyliły mnie przewidywania. Poznał mnie odrazu i serdecznie, lubo affektując się po aktorsku, przywitał się ze mną.—„Ach, panie, jak ja pana pragnąłem zobaczyć. Pytałem o pana kolegów—nikt mnie objaśnić nie umiał, gdzie się obracasz. Angażowałeś się pan gdzie?... Co? traktujesz pan z P.?...—to szkoda!.”—„Gdybym jednak przydał się panu, to wołałbym jechać do Lublina”.—„Czy pan mi się przyda?.. ależ to ironia! Nam takich właśnie potrzeba: ludzi młodych, ludzi inteligencyi i pracy—o talencie nie mówię, bom pana nie widział. Więc pojechałbyś pan z nami?”—„Choćby zaraz”.—„Wybornie! to jedź pan: wyjeżdżamy wieczorem”.—„Ale warunki?”—zagadnąłem nieśmiało.—„Ach, warunki—głupstwo! Zgodzimy się z sobą, nie skrzywdzę pana—bądź pewnym. Ileż pan

zresztą żąda?”—„40 rubli, tak brałem...”—„35, panie, 35, na pierwszy początek—pierwsze kroki, potem podwyższę chętnie”.—„A pański wspólnik czy zaaprobuje to?”—„Panie! ja!... ja mówię—to dosyć!”—Schyliłem głowę przed tem: ja!—„Ale ja nie mam na drogę.”—„Na drogę?... hm... i ja nie mam. Jak na złość—wyekspensowałem co do grosza. Panie! co za forszusa kolosalne! śpiwaczce—150 rubli, naiwnej—120 rubli, tenorowi—100 rubli, innym po 100, po 50 najmniej! A dekoracye, a biblioteka!... Mam zaledwie na bilet dla siebie i dla żony. Co tu począć?... Gdybyś pan wcześniej o godzinę się zgłosił...”—„Ha! trudno!”—westchnąłem, niemile zdziwiony, że tak reklamowana i zasobna dyrekeya nie ma na bilet dla jednej osoby.

—„Ale do P. nie radzę panu angażować się, nie radzę. Lepiej z dawnymi przyjaciółmi. Znajdziesz pan zawsze u nas miejsce i serca otwarte. Jak tylko pan przyjedziesz na miejsce, dam panu forszus. Może pan wynajdziesz z kąd trochę grosza, ja zresztą

dośle panu. Zostaw mi pan adres. Czekamy, czekamy pana!”—Uściskał mnie i rozstaliśmy się.

Czegoż silna wola nie dokaże? Pragnąłem być w Lublinie, pod przyjacielem dyrektorem, wystarałem się o pieniądze i pelen dobrej wiary—w kilka dni po wyjeździe dyrektora z Warszawy, przybyłem do Lublina.

Dyrektora dzień cały złapać nie mogłem: byłem i w mieszkaniu, i w teatrze; to śpi, to pilnie zajęty, to wyszedł. Wiedział o mem przybyciu, bo spotkałem jego małżonkę, a nie przysłał po mnie—to mnie zaniepokoiło. Nazajutrz na trotuarze spotyka mnie jego wspólnik X. i wszczynają sam rozmowę z miejsca.—„Po coś pan tu przyjechał?”—Zdetonowało mnie to nieco.—„Zostałem angażowany przez pana Q.”—„Ale ja pana wcale nie angażowałem. Towarzystwo jest skompletowanym, na role i na na gaźkę nie masz pan co liczyć. Adieu!”—odszedł miarowym krokiem, a ja struchlałem. Nie miałem w kieszeni ani grosza, ostatek pieniędzy poszedł na mieszkanie. Nareszcie udało mi się zła-

pać mego znajomego Q. w cukierni. Opowiedziałem mu zajście z jego wspólnikiem. „To narwanie! nie zważaj pan na niego. Przyjdź pan na spektakl, każę pana wpuścić naparter...”—„Ale, dyrektorze, forszus...”—„A, forszusu dać panu nie mogę, sam rozporządzać się nie mam prawa.”—„No, więc chociaż za drogę...”—„Za drogę?—przyjdź pan po spektakl.”—I po spektaklu nie dostałem ani grosza, bo dochód był nie duży, a trzeba było dać coś dawnym.

Koledzy patrzali na mnie, jak na intruza: człowiek, który gdzieś coś już grywał, z jakim takim repertuarem, nie był pożądanym nabytkiem, zwłaszcza, gdy się nie kłaniał i nie łąsił. Parę dni minęło, a wciąż ode mnie uciekali dyrektorzy, stronili koledzy. Na którejś próbie zabrakło suflera. Ja podjąłem się go zastąpić. Zadanie swe spełniłem z ogólnym zadowoleniem. Kazano mi suflerować i wieczorem. Po spektaklu dostałem pierwszego rubla. Ponieważ zakontraktowany sufler nie przyjeżdżał, postanowiono obrócić mnie na suflera i w tym celu uderzono

w najslabszą strunę — materyalną. „Będziesz suflerował—dostaniesz rubla, nie będziesz suflerował—nie nie dostaniesz”. Dla miłego kawałka chleba suflerowałem, zło-rzeczając swemu losowi, trawiąc się wewnętrz-ną gorączką i wstydem. W ten sposób suflerowałem na 5-u spektaklach i otrzyma-łem rubli pięć.

Na domiar nieszczęścia—przyplątała się do mnie choroba i zległem do łóżka. Felczer doglądający mnie, zawiadomił o wypadku dyrektorów, dodając, iż choroba wymaga le-ków, a zatem—i pieniędzy... Przybył—obo-jętny dotychczas dla mnie, współnik—dyrek-tor X.. nie tyle, by mi zapewnić pomoc, lecz by się przekonać, czym chory naprawdę.

Po paru słowach banalnej rozmowy, z mi-ną protekcyjonalną wyjął z kieszeni rubla i trzymając go w ręku, zapytał:—„A może byś pan dziś suflerował? co?”—Pomimo bólu i uczucia wstydu za dyrektora mego, rozśmia-łem się z jego czelności na cały głos.—„Wsty-dził-by się pan dyrektor wymagać od cho-rego czegoś podobnego!”—oburzył się poczei-

wy felczer, wzruszając ramionami. Dyrek-torowi zrobiło się głupio, skrzywił się, poło-żył rubla na stoliku i wyszedł... Od tej chwili, do końca choroby, nie widziałem już żadnego z dyrektorów...

Gdyby nie pomoc serdecznej ręki—nie wiem, co by się było ze mną stało.

Gdym, otrzymawszy forszus od znane-go ci Karolka, wyjeżdżał z Lublina, zrobiłem obrachunek: „byłem w dyrekcji miesiąc i dni dziesięć i otrzymałem na gażę... rubli sześć...”

Dziwna rzecz, że drugim dyrektorem, który mnie skrzywdził, był brat jednego z po-przednich, a obaj pochodzili... z Galicyi...

Było to w Zamościu, mieście jakkolwiek tylko powiatowem, lecz znającem się na sztuce i bardzo dobrem dla teatru. Dyrekcyja rozpoczętą została na wielką skalę, z ogrom-nym zasobem blagi i reklamy, artyści byli z początku na gaży, ale ta wkrótce okazała się fikcją. Dyrektor sam zaproponował dział, na co się wszyscy zgodzili; sobie naznaczył 14 marek, najlepszym aktorom po 8, i na to się zgodzono, bo cóż było robić?...

Pierwszy spektakl „na dział” miał być dany w niedzielę, w dzień moich imienin. Szedł bombastyczny „Ralf rozbójnik”, w którym grałem najwdzięczniejszą bodaj rolę kawalera Emanuela. Zrana, gdym spoczywał w najlepsze, usłyszałem pukanie do drzwi. Dla braku mieszkań w mieście (jako fortecy) mieszkalem na przedmieściu, o 2 wiorsty od Zamościa. Kto mógł tak rano mnie wizytować? Otworzyłem drzwi, w których ukazał się—dyrektor. Rozpoczął od powinszowania, które mu się nie kleiło i zaraz przystąpił do interesu. Przedstawiciel roli tytułowej—„Ralf rozbójnik” w nocy drapnął z miasta za granicę, w cukierni jest już 45 rubli a zastąpić Ralfa niema komu.—„W panu jednym cała nadzieja! Zrób pan to dla kolegów. Pierwszy spektakl na dział!”—Dyrektor wiedział, jak kogo *wziąć*.

Rola była kilkunasto-arkuszowa. Miła perspektywa przepędzenia dnia imienin! Nie było jednak rady. Zażądałem odroczenia próby do 1-ej po południu, przeczytałem całą sztukę i powędrowałem do miasta, po dro-

dze przerzucając ustępy roli. Na próbie mówiłem po suflerze jako tako. Zostałem w teatrze do wieczora, ucząc się roli. Wieczorem rzeczywiście teatr był nabity. „Bomba” zrobiła swoje. Zgorączkowany, stremowany, nie pewny roli, ubierając się pośpiesznie, przed zaczęciem sztuki zapytałem rekwizytora, gdzie położył nóż, potrzebny mi na scenie.—„Tam, gdzie pan kazał, w szafce, przy drzwiach.”—Dano trzeci dzwonek, rozpoczęła się sztuka. W roli Ralfa jest miejsce, kiedy chce ukraść pieniądze, zamknięte w szufladzie. Nie mając klucza, porywa nóż i wyważa nim szufladę. Czynię to wszystko dość efektownie, ale przy wyważaniu szuflady, nóż obsuwa mi się wraz z ręką i uderza w kolano. Nie zważałem na to na razie. Po chwili, uczulem jakby gorący prąd, przebiegający mi po łydce, postąpiłem parę kroków... w pantoflach coś plusnęło... Jeszcze parę kroków—noga odmawia mi posłuszeństwa. Zrozumiałem, że m zranił się w kolano.

Dograłem scenę i zeszedłem do garderoby.—„Felczera!”—zawolałem.—Sprowadzono

go. Gdy odwiązał podwiązkę i odkrył pończochę—chlusnął strumień krwi.—„Hm, w jabłko, w samo jabłko... hm... hm!” — mruzczał fclcher, bandażując mi nogę.

Z obandażowaną nogą dograłem cztery następne akty. Po skończonej sztuce, zwróciłem się z wymówką do dyrektora:

—„W porządnej dyrekcyi noże sceniczne powinny być sztuczne, imitowane, a nie wytoczone, jak na zabicie wołu“...—„E, po co to? Nie trzeba być tylko—za gorącym”—ironicznie, spokojnie wycedził dyrektor, wzruszając ramionami i poszedł na kolację—do swej protektorki.

Wsparty na ramionach pocziwego kolegi i dobrej koleżanki, po błocie i wybojach dociągnąłem jakoś w dobrą godzinę do domu.

Rana się zaogniła, zjawiała się lekka gorączka... Przychodzili do mnie ci i owi z kolegów, ale dyrektor ani nogą nie postął już na przedmieściu. Grano beze mnie w dalszym ciągu na dział. W ciągu dni mej choroby dyrektor raz przysłał mi—rubla. Widząc, że w ten sposób mogę umrzeć głodową

śmiercią, wołałem zarezykować — nogę i kulejąc, stękając, chodziłem co dzień o 2 wiorsty tam i na powrót, na próby i przedstawienia... Działy się zaraz poprawiły, dyrekeya wyasygnowała mi coś nawet z własnych oszczędności.

O ironio losu! o sztuko prowincjonalna! Grałem „Don Żuana”... z kulawą nogą, czemuż już nie lepiej „Gil Blasa?”—Abym nie miał do nikogo pretensyi, dyrektor *urządził* na końcu nas wszystkich jednakowo: zabrał pieniądze z przedstawienia na cel dobroczynny do swej kieszeni i wyjechał za granicę! Chwała Najwyższemu Bogu, że chociaż u nas go niema!



## VI.

W wieku bieżącym zapanowała moda jubileuszów. Aktorowie nie pozostali w tyle za innymi. Znasz dobrze „zasłużonego artystę“, który co parę lat obchodzi, to 25-lecie, to 30-lecie swojej „pracy scenicznej“. W lata owej karyery scenicznej wliczają się i długie okresy bezrobocia, i czas, przepędzony na służbie kolejowej. Drugi znów artysta, z kąd inąd bardzo zasłużony i szanowany powszechnie, mając 55 lat życia, święcił 50-letni jubileusz pracy scenicznej, licząc, iż mając 5 lat, wystąpił po raz pierwszy w sztuce „Gracz“ czyli „Dziecię, stawione na kartę“, jako właśnie... dziecię, postawione na kartę...

W ten sposób, i ja zapewne mógłbym obchodzić jubileusz przynajmniej piętnastoletni...

Od dzieciństwa—świat poezji i sztuki scenicznej wabił mnie swemi czarami.

W piątym roku życia deklamowałem na pamięć „Powrót taty“, w 10-tym umiałem wszystkie śpiewy historyczne Niemcewicza. Mając czternasty rok, jako uczeń klasy 4-ej, zorganizowałem teatr amatorski uczniowski, który dał ze sześć przedstawień z ogromnem zadowoleniem nieletniej publiczności. Stałem się patentowanym „bawicielem“ na wszystkich koleżeńskich i pensyonarskich zebraniach, piknikach i t. p.

Dziś udawałem „Icka zapieczętowanego“, nazajutrz w parodii Bryndzy p. t. „Cyd“ patetyzowałem jako nieszczęsna Xymena.

Przybywszy do Warszawy, jako 17-letni student, widząc świetne chwile sceny warszawskiej—całą duszą oddałem się sztuce. Marzyłem tylko o chwili, gdy i ja wystąpię na deski sceniczne, kiedy mi wolno będzie przemówić do tłumu natchnionemi słowami poetów—dramaturgów. Dowiedziawszy się o szkole dramatycznej Chęcińskiego, napisałem doń z prośbą, aby mnie zechciał przyjąć

w poczet swoich uczniów, dodając, iż jako utrzymujący się z korrepetycyj—środków na naukę nie mam. Odpisał mi serdecznie, ofiarował swą pomoc życzliwą a bezinteresowną zupełnie. Lekcje, niestety, zbyt prędko się skończyły—w jakie kilka miesięcy nie stało ś. p. Chęcińskiego, doskonałego deklamatora i nauczyciela, zdolnego pisarza, inteligentnego artysty! Za inicjatywą kolegi mego i przyjaciela Olesia Kryn. daliśmy wkrótce po zgonie ś. p. Chęcińskiego 2 przedstawienia amatorskie w teatryku Towarzystwa Dobroczynności na rzecz pozostałych sierot. Wybrane zostały same sztuki Chęcińskiego: „Cicha woda brzegi rwie”, w której grałem Wiktora, „Przed obiadem i po obiedzie”, gdzie dostała mi się rola Stefana i „Ciekawość pierwszy stopień do piekła”. Reżyserował nam (nie potrzebuję dodawać jak!) również już zmarły ś. p. Jan Jasiński, były dyrektor teatrów Warszawskich. Namustrował też on nas, namustrował!... Na 1-m przedstawieniu po sztuczce „Cicha woda brzegi rwie” przyszedł za kulisy ś. p. Wacław

Szymanowski, redaktor „Kurjera Warszawskiego”, prosił reżyssera o przedstawienie mnie jemu i podnosząc to, co mu się w mej grze podobało, zapytał, czy zamierzam poświęcić się scenie? To kateryczne niespodziane zapytanie wywołało z mej piersi szczerzy wykrzyk: „A jakże! to moje marzenie!” „Życzę panu szczęścia”—powiedział serdecznie, żegnając mnie. Nazajutrz pochlebna jego recenzja wszystkich nas zachwyciła i utrwaliła w postanowieniu służenia scenie. Tępo szły studia uniwersyteckie, od pandektów i paragrafów myśl ulatywała w inną sferę duchowych wrażeń, artystycznych widziadeł pełną. Niebawem zjawily się i silniejsze pokusy. Kolega i przyjaciel Olesia Kr. Teofil J., odziedziczywszy, czy też wygrowszy 300 rubli, postanowił zaprzepaścić takowe w przedsiębiorstwie teatralnem i zbierał truppę na Włocławek. Oleś wskazał mnie, jako obiecującego adepta. Zaproponował mi „engagement” na role drugich amantów. Wprawilo mnie to w niepomierną dumę i zachwyt i bez namysłu rzuciłem ka-

ryerę prawniczą dla otwierającej się przede mną artystycznej kariery. Dyrektor zapytał mnie o warunki. Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć i zażądałem, na chybił trafił, tego, com miał w Warszawie: 25 rubli na miesiąc. Ofiarował mi 20, przystałem, i w parę dni, spakowawszy do małej walizki parę książek, kilkanaście kołnierzyków i chustek do nosa, w mundurze studenckim wyruszyłem do Włocławka. A było to przy końcu Listopada roku Pańskiego 1875 (a więc lat z górą 15 temu).

Truppa nasza, jakeśmy się obrachowali we Włocławku, składała się z 7 mężczyzn (w tej liczbie 1 sufler i 1 kompletny nieużytek) i 4 kobiet (z tych jedna kassyerka, wcale nie do gry!) Nie zrażało nas to jednak. Aby tylko grać i żyć!...

Mieszkaliśmy wszyscy w jednym hotelu, dyrektor wynajął na swój koszt dla nas wszystkich mieszkania. Ja ulokowałem się z Olesiem w jednym pokoju i doskonale nam było z sobą. Dyrektor był walnym chłopcem, że go do rany przyłożyć — doskonale kolega, dobry artysta, porządny człowiek!

Poznawszy mnie bliżej, zaczął mnie faworyzować, dawał niektóre role po sobie, jak np.: w „Majstrze i czeladniku” Kasperka i wogóle żył z nami obu — na stopie przyjaźni. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie „reżyser”, który nam bruździł i publiczność, która stale nie dopisywała. W dodatku *teatr letni* tak był nieodpowiednim w zimie, iż pomimo zapewnienia afiszy, iż „teatr będzie ogrzany żelaznemi piecami należycie” marzliśmy nie raz na scenie, (zwłaszcza ja dygotałem, jako trup Don Alonza w Don-Żuanie).

Z „reżysera”, mając za sobą dyrektora, nie robiliśmy sobie nic prawie. W okólniku, przysyłanym nam codziennie, sumiennie podkreślałem mu wszelkie omyłki ortograficzne i gramatyczne, co w reżysserze wywoływało tylko pogardliwe wzruszenie ramionami z dodaniem epitetu: „student!” Reżysser nasz, nieszczęśliwym trafem wybrany przez dyrektora, był przedstawicielem aktorów z „najgłębszej prowincyi”, czemś tak niezwykle w czasach dzisiejszych, jak mamut przedtopowy. Okazy to już ginące. On to przy-

czynił się głównie do tego, że ani jedna kobieta nie bywała u nas w teatrze. Za najszcześniejszego się uważał, gdy mógł powiedzieć w sztuce taki nie dwuznaczny koncept, że siedzący w pierwszym rzędzie officerowie „złoci huzarzy”—zakrywali sobie twarze rękoma. Jako Pedrillo w „Don Żuanie” ukazał się na scenie w podartych zupełnie trykotach...

Effekt był kolosalny.

Reżyszer miał z sobą idyotę—pasierba, który jadł za dwóch i nie zgoła nie robił.

Pocziwy nasz dyrektor, zapewniwszy nam w hotelu mieszkania, zaręczył również za nas za obiady i całodzienne życie. My z Olesiem, ze względu na ograniczone pensye, żyliśmy z kredką w rękę, ale reżyszer z pasierbem folgowali swym podniebieniom bez miary.

W rezultacie, po miesiącu, dług w restauracyi wynosił poważną summę paruset rubli: sam reżyszer na swą gażę 60 rublową najadł i napił za 100 rubli z górą!... Wskutek tego, w samą wigilię Bożego Narodzenia,

do mieszkania dyrektora zeszedł komornik sądowy, opieczetował kostjomy, bibliotekę, a nawet osobistą garderobę dyrektora, a my wszyscy znaleźliśmy się na bruku—na same święta, w trzaskające mrozy, zdala od domów, wykołajeni...

Smutna zaiste perspektywa! Wprawdzie „reżyszer” proponował nam granie z nim na dział zaraz po świętach, ale ani słyszeć o tem nie chcieliśmy.

Na nasze szczęście—miejscowi amatorowie, dowiedziawszy się, co się święci, przynieśli nam dwa gratisowe bileta do Kutna, zawiadamiając, iż przebywa tam truppa teatralna pod dyrekcją Modzelewskiego, dokąd możemy się angażować.

Podziękowawszy za życzliwą pomoc, pożegnawszy serdecznie biednego ex-dyrektora, pojechalśmy do Kutna. Modzelewski był dyrektorem działowym z opinią najlepszą i nieskazitelną. Aktorów miał dużo młodych, z których wyszli dzisiejsi artyści teatru młodego w Warszawie: Mis., Bor. i tak inteligentny i pożądany artysta na prowincyi, jak

Kopcz., miał także masę rodziny swojej, cały prawie personal damski—była rodzina.

Angażował nas chętnie. Debiutowaliśmy zaraz w drugi dzień Bożego Narodzenia w naszym ulubionem „Przed obiadem i po obiedzie“. Oleś Kr. podobał się dyrektorowi, ja nie, wskutek tego on otrzymał o  $\frac{1}{2}$  marki więcej ode mnie. Nie wziąłem tego bardzo do serca, bo cały odurzony byłem tą koleżeńską atmosferą, w jaką wpadliśmy.

Węzły serdecznej przyjaźni związały mnie wtedy z Karolem Kop., z poczciwym Bor... Żyliśmy wspólnie, jak bursze Niemiec, razem obiadowaliśmy, razem pokotem kładliśmy się spać, mieliśmy wspólną kasę, wspólne kłopoty i wesele.

Z Kutna Modzelewski pojechał do Włocławka i tam, gdzie biedny Teofil nie miał żadnego powodzenia, teraz było każdą razą niemal pełno w teatrze...

Zdarzają się takie fatalności.

Mnie Włocławek dał się we znaki.

Nowicyat aktorski u Modzelewskiego był

ciężki, każdy musiał się dobrze nawysługiwać, nim wszedł w repertuar.

I mnie to spotkało. Sztuka po sztuce występowałem, jako niemy kompars, sekretarz sędziego, albo pasterz 5-ty czy też sędzia 12-ty i t. p.—i to w tem samem mieście, gdzie już grywał bohaterów—z nie-zgorszem powodzeniem!... Była to zimna woda na gorącą głowę scenicznego zapaleńca!

To też rad byłem serdecznie, gdyśmy wyjechali do Lipna.—W Lipnie jeszcze gorzej czekały nas niespodzianki: teatru, t. j. pomieszczenia gotowego nie było wcale, trzeba było wszystko urządzać „ab ovo“, mieszkań brak również, a i pieniędzy—naturalnie także!

Co tu robić?... Teatr miał być gotów za tydzień. Popatrzyliśmy sobie w oczy.—Oleś mnie, ja Olesiowi, i wreszcie zagadaliśmy razem:—„Nie ma co! wracajmy do Warszawy.“

Nie tak nie rozstraja człowieka, nie podcina mu tak skrzydeł,—jak brak własnego kąta, gdzieby można swobodnie odetchnąć i popracować. Nas to wykoleiło właśnie.—

„Kiedy?”—zapytałem, tem samem pobudzając Olesia do działania.

—„Zaraz!”—„Dictum—factum”.

W piekarni ex-kolegi teatralnego p. Łob. Oleś zastawił swój zegarek, najęliśmy furmankę do Włocławka i nie żegnając się z nikim, wyjechaliśmy z niegościnnego Lipca.

Modzelewski jednak zwąchał pismo nosem.—„Karol wyjeżdża!”—zawołał z hotelu za nami—„bo zabrał swoje kołnierzyki!”—Zgadł, ale nie oponował, może w duszy przyznawał, że dobrze robimy.

Mróz był trzaskający, a ja—w letnim pal-tociku, Oleś za to miał futro co się nazywa—szopy, rozłożyliśmy się więc na furze, jak dłudzy, nakryli owem futrem z głowami i ogrzewając się wspólnem, przyjaznem techniem, dojechaliśmy bez szwanku do Włocławka, a ztamtąd—zdetenowani mocno, nie śmiąc oczu pokazać znajomym, dotarliśmy do Warszawy.

Ja—wyruszyłem do Suwałk na urządowanie, a Oleś znalazł posadę na kolei.

Czy wrócimy do teatru — nie mówiliśmy

nic z goła. Wiedzieliśmy jednak, że niedługo wytrzymamy bez sceny, bez owych wrażeń, jakie daje sztuka, bodaj w najnieodpowiedniejszym otoczeniu...

Bądź co bądź—pierwszy akt naszej kariery zakończył się.

Mogliśmy pozostać spokojnymi obywatelami przez całe życie, lub powrócić na deski sceniczne...

Ja — wytrwałem lat cztery, urzędując, urządzając teatru amatorskie, rojąc i żyjąc z dnia na dzień... Oleś wytrwał po dziś dzień, a wytrwa niezawodnie do końca... Mnie życie sceniczne znów pociągnęło magnetyczną swą władzą i upajało przez długi czas lat ośmiu, póki czary sztuki nie pękły przed innem, potężniejszym uczuciem... Ale o tem—potem... Na teraz—przerwywam na czas jakiś szereg mych listów, bo i przerwa w karierze scenicznej była niemała.

Uważaj zatem, mój Józiu, że to jest.

*Koniec seryi I-ej listów twego Karola.*

---

## DODATEK.

### *Z wrażeń wędrownego Aktora.*

*Kaliskie strony.—Słowo o teatrach amatorskich.—Konin, Koło, Turek i Łęczyca.*

Mały nasz kraik, z dziesięciu drobnych części złożony, jakże wielką przedstawia różnaitość typów ludowych, jak różnobarwną mazajkę gór, lasów i rzek, grodów i wiosek, powiązanych wspólną nicią tradycji i bratniej miłości.

W ciągłej wędrówce z miejsca na miejsce, przedsiębranej w celu służenia sztuce i budzenia życia szlachetniejszymi aspiracjami w najdalszych zakątkach, długo błądziłem

z miasteczka do miasteczka, z gubernji do gubernji, z piosnką i mową ojczystą na ustach, zanim wreszcie dostałem się w kaliskie strony.

Jak zwykle—nowe obrazy, nowi ludzie wywołali w mym umyśle tysiące wrażeń, przenoszonych na papier w formie wspomnień bez pretensji. Wrażenia te nie mogą być dokładną fotografią życia prowincji, dają one tylko pojęcie o jego stronach dostępnych dla wzroku aktora, przybywającego do nieznanego miasta i obracającego się w kole nieznanym ludzi.

Że jednak do wyrobienia sobie całokształtu pojęć o stanie umysłowym naszej prowincji, posłużyć może i powinien każdy szczegół, charakteryzujący jej życie, sądzę więc, że i te kilka kartek, nakreślonych w podobnych warunkach, mogą mieć rację bytu.

Kaliskie strony w ogóle wywarły na mnie nader sympatyczne wrażenie. Lud tu wesoły, swobodny, napozór szczęśliwy, lubiący się bawić, ale daleki od nadużyć i zbytków. Widziałem nieraz wieśniaków tutejszych pod-

czas targów i jarmarków i z przyjemnością zwracałem oczy na te dorodne a uśmiechnięte postacie. Ten rys ludowej fantazji wpadł mi w oko od razu tem łatwiej, że przybywałem tu z okolic lubelskich, gdzie mnie uderzył wprost przeciwny kontrast. Za to, nie mniej uderza wędrowca zniemczenie tutejszych mieszczan i w ogóle mieszkańców. Zniemczenie to daje się spostrzedz wszędzie: karczmy po drodze trzymają niemcy, w handlu przym trzymają niemcy, na fabrykach niemcy.

Zniemczenie to wyraża się dalej w udzielającej się naszym mieszczanom i ludowi żyłce wyzyskiwania. „Drzeć łyko, gdy się da”, a zwłaszcza z podróżnych ciągnąć do ostataka za mieszkanie, usługę, pranie i t. d. Najbardziej pod tym względem zmaterializowanym jest Konin, do którego losy najpierw mnie zanosły...

Kaliska gubernja ma to dobre do siebie a wygodnego dla przejezdnych artystów, że prawie w każdym mieście posiada stałe i udekorowane locum pod teatr, czego w innych gubernjach jak: lubelskiej, siedleckiej,

łomżyńskiej, suwalskiej i in., nigdzie prawie nienia. Świadczy to bądź co bądź o rozbudzonej w massach potrzebie widowisk teatralnych, mniej więcej stałych a perjodycznych. Scenki te powstały i egzystują dzięki stałej organizacji w tych miastach teatrów amatorskich, które budowały je i upiększały, w miarę rozwoju swoich interesów.

Istnieje pomiędzy dyrektorami truppiaktarami niesłuszne uprzedzenie, niewiadomo jakim sposobem wyrobione, że tam, gdzie są stałe amatorskie teatry i sceny, przejezdny teatr powodzenia mieć nie może. Podobne uprzedzenie dowodzi tylko płytkości zapatrywania.

Teatr amatorski, rozbudzając życie umysłowe, powołując do współpracy na scenie różne żywioły, dla których nieraz sztuka dramatyczna zupełnie była obcą, staje się właśnie pionierem widowisk teatralnych stałych, przez aktorów dawanych. Im gdzie więcej zamilowania do sztuki, im więcej jej znawców i miłośników, im bardziej potrzeba widowisk wchodzi w krew i w serce publicz-

ności, tem powodzenie teatru pewniejsze. Prawdziwi „amatorowie” są zawsze amatorami i protektorami sztuki, o wyjątkach pyszniących się swoją wielkością, widzących w sobie Żółkowski i Rapacki, a z pogardą patrzących na aktorów, jako o nie licznych jednostkach—mówić nie warto.

Teatr amatorski jest jedną z najsympatyczniejszych instytucyj, która na ołtarzu cierpiącej ludzkości składa coraz, na najpożebniejsze cele publiczne, ofiarę, zyskaną za swą pracę.

Tym więc, którzy aktorom ułatwiają drogę, torują szlaki, którzy im otwierają podwoje gmachów, zbudowanych własną dłonią, tym od nich należy się tylko podzięką i wdzięczność.

Ale wracam do wrażeń podróży. Koni należy do miast porządniejszych i ładnie zabudowanych. Centrum jego stanowi rynek, około którego kupią się gmachy biur rządowych, cerkiewka, dwie porządne cukiernie, apteka (oprócz której jest druga zaraz w sąsiedniej ulicy), sklepy i inne.

Z cukierni wybrałem sobie za locum, i dla firmy i dla taniości produktów z jadłodajni, zakład restauracyjno-cukierniczy p. Jankiewicza i S-ki.

Zawsze tu pełno i gwarno, tu stołują się artyści, tu się sprzedają bilety teatralne.

Z pism są: „Kurjer Warszawski”, „Kaliszanin” i humorystyczne. Drukarnia p. Michła bardzo porządna, posiadająca doskonałe czcionki, odbijająca szybko i bez zmyłek, słowem, unikat wśród mało-miasteczkowych drukarni. Tegoż p. Michła księgarnia pełna nowości, zaopatrzona obficie w dobór książek do czytania, z obsługą szybką i grzeczną. Zamówienia w ciągu kilku dni odbierają się z Warszawy, nie tak, jak gdzieindziej, gdzie tygodniami każą czekać.

Teatr reprezentuje szopa na instrumenty pożarne, duża i wygodna dla publiczności. Scena również obszerna, dekoracyj kilka ale ładnych. Słabą stroną lokalu teatralnego stanowi drożyzna niepraktykowana gdzieindziej i niepewność jutra: lada deszcz, mróz lub nawet „chmurka”—instrumenty wtaczają się

do szopy, a lary i penaty artystów wyrzucają się za drzwi.

Publiczność uczęszcza do teatru dość chętnie i licznie, ale gustuje jedynie w sztukach efektownych, wystawnych, w rodzaju „Chaty za wsią”; komedij nie proteguje, z wyjątkiem bardzo renomowanych. Bardzo popierają teatr tutejsi starozakonni, którzy w swoim gronie liczą duży zastęp inteligencji, assymilującej się pojęciami i dążeniami z rdzenną ludnością kraju.

Wogóle Konin byłby dość gościnnym dla teatru, gdyby nie bajeczne kosztą spektaklowe, które pochłaniają znakomitą część wpływu.

Drugim z kolei miastem, gdzieśmy rozbili swe namioty, było Koło. Miasto dziwnie rozrzucone i rozległe zabudowane, lubo nie więcej mieszkańców od Konina liczące, rozdzielone rzeką Wartą na przedmieście i właściwe miasto.

Tu w rynku zwraca uwagę piękny ratusz, dwie cukiernie, apteka, księgarnia w połączeniu ze sklepem galanteryjnym. Cukiernia p. Widta ogniskuje przeważnie życie po-

łowy inteligentnej ludności, młodzieży i starszych przedstawicieli płci brzydkiej.

Stara to i dobrze zasłużona firma. Podczas dni targowych pełno tu obywateli z okolicy. Dla pokarmu duchowego są z gazet: „Warszawska”, „Polska”, „Słowo”, „Kurjer Warszawski”, „Kaliszanin” i humorystyczne.

Teatr znajduje się aż na przedmieściu: mieści się w szopie, na zimę bardzo chłodnej, pomimo ogrzewania (\*).

Chłód panujący w sali wraz z utrudnioną komunikacją z miastem, stanowi jedyne jego strony ujemne. Za to scenka przedstawia się miłutko, kilka artystycznie wykonanych dekoracyj pędzla Morozowicza, przyczyniają się do efektownego jej wyglądu. Miejsc dla publiczności dużo i bardzo wygodnych. Warunki wynajmu lokalu nadzwyczaj przystępne, za salę płaci się zaledwie  $\frac{1}{3}$  część tego, co w Koninie, nie mając już nic do czynienia z sikawkami i zmianami aury. Publiczność, nie ubliżając bynajmniej innym miastom,

---

(\*) Obecnie pobudowano w Kole nowy murowany teatrzyk, elegancki i wygodny.

nadzwyczaj inteligentna i pocziwa, odczuwająca żywo zadanie sztuki i trudności, z jakimi ona walczy w warunkach naszego bytu.

W Kole każda komedja oryginalna, każdy utwór swojski ściaga liczną publiczność, nie zważając na aurę, błoto, chłód w sali. „Wicka i Wacka” graliśmy dwa razy przy przepełnionej sali. Gdyśmy zapowiedzieli afiszami „Męża z grzeczności”, podniosła się zawieja śnieżna, teatr nasz formalnie zawiało do połowy. Wieczorem odkopano drzwi wchodowe i dla zwyczaju więcej, niż z potrzeby, bez najmniejszej nadziei, żeby się miało grać, posadzono do kassy jednego z członków towarzystwa. Tymczasem do godziny 8 wieczorem sala zapełniła się publicznością, która dla zobaczenia nieznanej sztuki, zrezygnowała się na brnięcie po kolana w śniegu, wśród ciemnej nocy, i marznienie w nieogrzanej sali.

Publiczność kolska musi zapisać się na długi czas w pamięci każdego dobrze myślącego aktora. Wogóle i życie tu tańsze, i wyzysk mniejszy, i ludzie życzliwsi. Za to

drukarnia nadzwyczaj pierwotna, z czasów Gutenberga, nad wyraz nieudolnie spełniająca roboty. Niech jej Pan Bóg przebaczy wszystkie byki drukarskie!

Koło pożegnałem łąką wdzięczności i westchnieniem: „Do widzenia!”

Z Koła przejechaliśmy do Turku, miasteczka małego, ubogiego i mało życia okazującego. Teatrzyk stały, maleńki, staraniem amatorów utrzymywany, z dekoracyjkami skromnymi ale świeżutkimi i wdzięcznymi dla oka. Publiczności nie wiele, bo większość mieszkańców stanowią drobni fabrykanci: tkacze, garbarze i t. p., uczęszczający do teatru wyjątkowo niekiedy w dni świąteczne i niedzielne. Garstka zaś inteligencji, z miejscowych urzędników złożona, bywając stale, prędko ekspensuje swoje zasoby, ztąd teatr tu długo gościć nie może.

Cukiernia jedyna przy miejscowym hotelu bardzo porządnie utrzymywana, ale prenumerująca tylko „Kurjera Warszawskiego”. Czy nie za mało? Księgarni nie dostrzegłem w mieście.

Z Turku przejechaliśmy do stolicy piskorzy i rezydencji sławetnego Boruty—Łęczycy. Miasto sympatyczne robi wrażenie swymi ruinami starożytnego zamku, z parkiem nad Bzurą, z alejami i ulicami (z wyjątkiem żydowskich) porządnie utrzymanymi. Teatr, zajmując część murowanej szopy, przeznaczony na narzędzia straży, ma stałe locum, lubo szczupłe, ale ciepłe i miłe dla oka. Dekoracje ładne, w części bardzo jeszcze świeże. Teatr sąsiaduje na vis-à-vis z zamkiem Kazimierza Wielkiego, respective z Borutą, w czym niektórzy prostaczkowie upatrują pewną łączność, czyniąc teatr—djabelskim igrzyskiem.

Publiczność łęczycka należy do rzędu bardzo i wiele wymagających, żąda ona operet, operetek i nowości. Może tu mieć powodzenie tylko truppa bardzo okrzyczana vel renomowana, któraby zaimponować mogła małym i wielkim... Cukiernia jedna bardzo porządna pana Cuevasa. Prenumeruje ona kilka pism. Księgarnia polska pani Koreywo prosperuje najpomyślniej. Drukarnia ani

trochę nie lepsza od kolskiej, z tą różnicą, że obsługiwana przez jednego, czy dwóch ludzi często nie przyjmuje prywatnych obstacków.

Szczególniejszym objawem, zanotowanym przeze mnie we wszystkich czterech miastach, jest, że okoliczne obywatelstwo wiejskie wcale nie albo bardzo mało proteguje teatr, odwiedzając go tylko pod naciskiem, podczas benefisów lub filantropijnych przedstawień.

Czem się to dzieje? badać nie chcę i nie mogę.

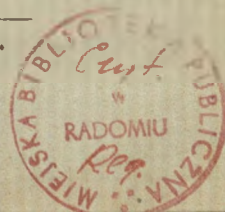
Wielu z nich bywać może, ale nie chce, wielu chciałoby, ale nie może... usprawiedliwiam ostatnich, ale nad ostatnimi przechodzę do porządku dziennego, t. j. jak obecnie—kończę moją pobieżną notatkę o wrażeniach z artystycznej wędrowki po paru miastach gubernji kaliskiej.

Kończę ją życzeniem, aby węzeł pomiędzy publicznością mało-miasteczkową a wędrownymi aktorami umacniał się z dniem każdym, na czem pierwsza strona zyska wewnętrzne zadowolenie duchowe, druga—wiarę w swe posłannictwo.

KONIEC.

~~8260~~

66425



739



